

zajętych przez rosyjskich "zwycięzców". Opowiadano nam, że szczególnie zajdliwe i antypolskie były te, którymi "udekorowano" Wilno. Był na nich polski orzeł skrwawiony i kopany butem sowieckiego żołdaka.

W Stanisławowie oglądaliśmy też makabryczne widowisko - wożonych na odkrytej platformie przebierańców, mających udawać pokonanych żołnierzy polskiej armii. Mieli na sobie podarte mundury, zmięte i przekrzywione czapki na głowach, po błazeńsku wymalowane twarze. W zamierzeniu rosyjskich "reżyserów" maskarada ta miała budzić śmiech, a wywoływała łyzy polskich przechodniów i nienawiść do agresorów ze wschodu.

Mój rok szkolny 1939/1940 zaczął się z dużym opóźnieniem. Uczęszczałam z siostrą oraz wieloma koleżankami do naszego dawnego Gimnazjum Sióstr Urszulanek, ale jakże teraz innego!

Władze rosyjskie nakazały zrzucić habity naszym "mateczkom". Więc zobaczyłyśmy je zupełnie odmienione - w sukienkach uszytych "po domowemu", z nieumiejętnie ułożonymi fryzurami.

Pojawili się też w szkole nowi, świeccy nauczyciele. Należał do nich brunet o ognistych oczach - ukraińsko-rosyjski nauczyciel śpiewu. Z zapalem zaczął nas uczyć ukraińskich i rosyjskich pieśni na akademię o rewolucji październikowej. Z przerażeniem uświadomiliśmy sobie, my, wybrane przez naszego "Bohuna" do szkolnego chóru, że po raz pierwszy w murach tej szkoły będzie zorganizowana październikowa akademia i że my właśnie będziemy w tej uroczystości aktywnie uczestniczyć, śpiewając rewolucyjne pieśni. Postanowiłyśmy bronić się! Ale jak? Zdawałyśmy sobie sprawę z tego, że otwarty nasz upór nie da pożądanego rezultatu, że trzeba działać podstępnie. A więc na próbach chóru starałyśmy się śpiewać tak pięknie, żeby nauczyciel był z nas zadowolony, a nasza zemsta miała nastąpić dopiero w czasie akademii, na której postanowiłyśmy fałszować najlepiej, jak potrafimy.

Tak się też stało. Nasz "Bohun", wystrojony w czerwone szarawary, dyrygując dostawał białej gorączki, tupał nogami, krzyczał: "sabotaż", a my, z niewinnymi minami, fałszowałyśmy tak zapamiętale, że doprowadziłyśmy w zdumienie nawet resztki naszego przedwojennego grona nauczycielskiego. Po akademii, na pytanie jednej z "mateczek": "Dlaczego tak fałszowałyście?", syte zemsty, odpowiedziałyśmy: "Uczciłyśmy po swojemu październikową rewolucję".

A potem wypędzono nasze zakonne nauczycielki ze szkoły, która miała być całkowicie świecka.

Miała być, ale nie była, bo z zakazami rosyjskich władz szkolnych walczyliśmy np. nosząc ostentacyjnie zakazane medaliki tak, aby były widoczne, odmawiając przed lekcjami i po nich zabronione modlitwy. A ponieważ w każdej klasie, na frontowej ścianie wisiały portrety "świętych marksistowskich", od Marksa zaczynając, a na Stalinie kończąc, więc przed modlitwą odwracaliśmy się od nich i nasze modły zanosiliśmy bezpośrednio do nieba, widocznego przez okna. Opowiedzieliśmy o tym, z rozbijającą szczerością, wychowawcy klasy - Żydowi i dyrektorowi szkoły - Moskalowi, którzy, chcąc nas sprowadzić na "właściwe drogi", tłumaczyli nam kiedyś, że nie powinniśmy modlić się do tych wybitnych wprawdzie, ale przecież nie świętych, postaci z portretów szkolnych.

Wkrótce moja szkoła zmieniła się jeszcze bardziej. Stała się koedukacyjna i już nie była polska, ale polsko-ukraińsko-żydowska. Trzeba przyznać jednak, że cała ta nasza, tak zróżnicowana, społeczność uczniowska żyła w wielkiej zgodzie i solidarnie broniła swojej godności w walce z szkolnymi władzami sowieckimi.

Pamiętam lekcję współczesnej historii, prowadzoną przez rosyjskiego dyrektora szkoły, starającego się wpoić nam podziw dla doskonałości konstytucji ZSRR, która rzekomo zapewniała prawdziwą wolność oraz wiele praw i przywilejów republikom wchodzącym w skład sowieckiego mocarstwa oraz wszystkim ich obywatelom. Kiedy, po skończonym wykładzie, rosyjski entuzjasta tej konstytucji ~~tej konstytucji~~ zwrócił się do klasy z prośbą o zadawanie pytań dotyczących tematu lekcji, usłyszał zgodne głosy wszystkich uczniów: "Dlaczego to, o czym mówi ta zachwalana konstytucja, jest nieprawdą?" Pamiętam zdumienie mające się natwarzy tego niemłodego człowieka, który pewnie w ciągu swojej wieloletniej pracy nauczycielskiej nigdy nie zetknął się z taką reakcją audytorium.

W szkole towarzyszyła nam stale obawa, że możemy być rozdzieleni z najbliższymi, których może nagle przeznaczono na wywóz w głąb Rosji. Toteż zdarzały się niejednokrotnie nasze zbiorowe ucieczki z lekcji i powroty do domów, kiedy rozeszła się w szkole pogłoska o wywozie. Zaczęły się bowiem wówczas masowe deportacje wszystkich "niebłagonadziejnych" obywateli ZSRR, do których przede wszystkim należeli

("Stanisławowianka")

II/1226/2KW
© ARCHIWUM WSCHODNIE

© ARCHIWUM WSCHODNIE

BYŁAM UCZENNICĄ "DZIESIĘCIOLATKI" W STANISŁAWOWIE.

Gdy zaczynała się druga wojna światowa, miałam 15 lat. Mieszkałam z rodzicami i młodszą siostrą w Stanisławowie, pięknym, zielonym mieście na południowo-wschodnich ziemiach dawnej Polski.

Nasze mieszkanie znajdowało się przy ulicy Piotra Wysockiego, skąd było niedaleko do kościoła O.O. Jezuitów. Pierwszego września, w pierwszy piątek miesiąca, o godzinie 7 rano poszłam do tego kościoła na mszę św. I tam dowiedziałam się, że o świcie zaczęła się wojna i że są już pierwsze jej ofiary - ranni i zabici w czasie walk i bombardowań. Ksiądz odmawiał za nich modlitwy, w których uczestniczyli zgromadzeni w kościele ludzie.

Tego samego dnia na Stanisławów spadły pierwsze bomby niemieckie.

Pamiętam słuchane potem, z zapartym tchem, audycje radiowe o walkach polskiej armii z niemiecką. Pamiętam powtarzane często i budzące naszą nadzieję słowa: "Westerplatte broni się jeszcze". Pamiętam, jak nasze miasto zaludniło się umęczonymi uciekinierami z terenów zajmowanych przez Niemców.

A potem nadszedł 17 września, dzień, w którym na polskie ziemie wkroczyła, sprzymierzona z Niemcami, Armia Czerwona.

Patrzyliśmy ze zdumieniem na tych egzotycznych agresorów w wystrzępionych mundurach, z karabinami częstokroć powiazanymi sznurkami.

Potem za rosyjskimi żołnierzami zjechali cywile i ich rodziny.

Dziwiliśmy się, że ci nasi okupanci wykupują w sklepach wszystkie towary i to w ogromnych ilościach, nawet smoczki dla niemowląt.

Z rozbawieniem słuchaliśmy wciąż zadawanego pytania: "Czy jest u was odwieszalnia?"

Smieszyło nas to, że Rosjanie piją wodę kolońską kupowaną w polskich sklepach, a Rosjanki w nowo nabytych, pięknych, polskich koszulach nocnych wychodzą na corso.

Z przerażeniem patrzyliśmy na afisze krzyczące z murów miasta, że Polski już nie ma, bo nastąpił nowy jej rozbiór i że religia - jedyna wówczas nasza nadzieja - to "opium narodu".

Takie same lub podobne afisze zawisły we wszystkich miejscowościach